

## W majestacie śmierci: szepty, szemrania i mamroty

Moja głowa jest gigantyczną pralką, klasa energetyczna A+++ . W wielkim bębnie wirują słowa, całe lub poszarpane zdania, ucięte wyrazy: śmierć, agonia, odchodzenie to proces, umier..., pożegnanie człowieka i oplakanie straty, żałob..., kres i nadziei..., nowe i stare matryce zachowań, zgon, zgon, zgon! Kłębią się wspomnienia białych róż na lakierowanej powierzchni trumny, plastikowych motylków udających trumienne śruby, śladów opon na piasku, pozostawionych przez karawan. Furczą mi pod czaszką wstęgi z tymi wszystkimi „ostatnimi pożegnaniami”, „najdroższymi synami”, „najukochańszymi mężami”. Potrzęsam zdecydowanie głową, by pralka wspomnień zakończyła pracę, przynajmniej na ten dzień, ale ona wciąż wiruje i wiruje, jakby na jej górnej klapie ktoś przymocował wirnik, gotowy poderwać ją do wysokich lotów.

Urywki obrazów, scen, słów, pamięć łez, szum rozmów i szmer modlitw – wszystko to lata w bębnie maszyny wspomnienia losującej i swobodnie osadza się w mojej głowie. Na nowo, w nowej konfiguracji, poszarpane wadami upływu czasu i zniekształceniem postrzegania tego, co było. I tak oto nagle obok siebie siada w mojej głowie pogrzeb i poznanie mojego męża, wspomnienie naszego ślubu i ostatniego spotkania w szpitalnym laboratorium człowieczej destrukcji. Pod powiekami szalony projektor kinowy wyświetla mi obrazy radości i nagle, małe, prywatne końce naszego świata. Natężenie obrazów, wizji, dźwięków, a nawet zapachów jest tak duże, iż czuję, że za chwilę ja i moja starannie wypracowana apatia, weźmiemy ze sobą rozbrat. Niekontrolowane szaleństwo skrada się do mnie cichutko na paluszkach, jest już coraz bliżej. Jeśli przejmie mnie we władanie, nie wiem czy kiedykolwiek wróci mi zdrowy rozsądek. W końcu połowa mojej psychologicznej osobowości to krwawiąca, niezabliźniona rana, pozostała po oderwaniu ode mnie osobowości męża. Wciąż dostrzegam kapiącą na ziemię koło moich stóp ciemną krew, drgają porozrywane ścięgna, sterczą fragmenty żył, zwisają płaty skóry, przyciągane do ziemi mocą grawitacji. Rana źle się goi, paprze, nadkaża. Czuję fantomowy ból straconej części ciała.

Żal, tęsknota, ból rzuca mnie w końcu jak szmacianą lalkę na ziemię w pokoju. Dywan zamienia się w olbrzymią chusteczkę higieniczną, która po raz kolejny przyjmuje ode mnie każdą ilość łez, wycia, krzyku w puszysty wzorek, drapania paznokciami. Jednocześnie swoją miękkością przygarnia mnie do siebie i nieznacznie koi. Przez chwilę dziecięca tęsknota każe mi wierzyć, że to bajkowy, latający dywan, który uniesie się zaraz wysoko w błękit i przetransportuje wprost przed oblicze Boga, a w dalszej kolejności w czułe ramiona ukochanego, straconego niedawno męża. Twarda rzeczywistość szybko jednak osadza się krwawym cieniem w moim mózgu, podbarwionym nagłą goryczą: „To fikcja! Nawet latający dywan nie pokona przecież bariery śmierci, oddzielającej niebo od Ziemi”. Brutalna ta konstatacja znaczone jest kolejnymi strumieniami gorących łez. Czuję, że wręcz parzą mnie w dłonie, wypływają z rozognionego bólem dna duszy, tam gdzie każdy człowiek przechowuje tylko mały, płaski kamień z wyżłobioną sentencją: „Memento mori”. Płyną wgłębieniami linii papilarnych, moczą miniaturowe włoski na skórze.

Wtem w mojej funeralnej pralce mózgu fragment myśli wylatuje mi ponad zwojami niczym odprysk żwiru spod kół samochodu: „Modlitwa to ukojenie, rozmowa z Opatrznością, wytchnienie”. Nadludzkim wysiłkiem zmuszam swoje wdowie ciało do ruchu, niechętnie podnoszę się z przytulnego kojca dywanu. Weiskam na uszy słuchawki i wyszukuję w Internecie na YouTube nagranie audio godzinnego szumu górskiego strumienia. „Co mi mówisz górski strumieniu?” – pytam delikatnie, poruszając opuchniętymi od płaczu wargami. Może podsłuchuję właśnie szumu Kidronu, okresowego strumienia płynącego u stóp Góry Oliwnej w Jerozolimie, tak wiele razy wymienianego w Piśmie Świętym? Wsłuchuję się

uważnie, próbując złowić uchem nawet najcichszą, wyszumianą odpowiedź. Przypominam sobie, że dźwięki natury przecież relaksują, uspokajają wirujące w głowie pranie doczesności. Skoro szum górskiego strumienia pomaga uspokoić nawet ząbkujące niemowlęta, to może pomoże i wdowie ze zdekompletowanym uzębieniem?

Łagodność, jednostajność dźwięków przebija się stopniowo przez mój wrodzony sceptycyzm. Jakież silne, brutalne dłonie stresu przestają trzymać mnie tak mocno za gardło. Osadza się wtem we mnie fragment Psalmu 42: „Jak łania pragnie wody ze strumieni, tak dusza moja pragnie Ciebie, Boże!”. Górski strumień przemówił! Ja się modłę! To dla mnie nadzwyczajna łaska, że mogę to czynić w takim trudnym czasie życia. I jeszcze słyszę wyraźniejsze słowa znanej pieśni: „Przybądź Duchu Świątym, spuść z niebiosów wzięty światła Twego strumień”. Czekam na owe światło, pełne zrozumienie swojej sytuacji – po ludzku trudniej przecież do zrozumienia. Stracić męża półtora roku po ślubie? I to w chwili, gdy starliśmy się wymodlić u Pana Boga dziecko? Czy ta śmierć była nieuchronna? A może to, że przyszła nawiedzić nasz dom - to moja wina, moja wina, moja bardzo wielka wina? Złamana dusza chętnie przyjmuje na siebie odpowiedzialność, szuka w sobie wszelkich przewin i choćby cienia grzechów.

### **I. Drgania membrany. Pulsowanie rozgotowanych cielsk nut**

*Jak ubywa wód z morza,  
Jak strumień opada i wysycha,  
Tak człowiek, gdy się położy, nie wstanie;  
dopóki niebo nie przeminie, nie ocuci się  
i nie obudzi się ze swego snu.*

Księga Hioba 14.11

Gdyby dało się chwycić wszystkie otaczające mnie w domu zegary za kark, jak młode, nieposłuszne szczenięta i wrzucić je prosto w wielgachny sagan gotującej się wody. Chluuuup! Zegary to nie łodzie podwodne, nie wypłyną znienacka. Mogłyby jeszcze co najwyżej przez jakiś czas tykać tuż pod powierzchnią wody makabrycznie, ostatecznie, agonalnie. Aż w końcu pożegnałabym z cichym westchnieniem ulgi ostatni bąbelek tlenu, który ośmieliłby się pęknać nieśmiało przed moimi spragnionymi spektakularnego finału oczyma.

Udomowione zegary – utopione, melduję wykonanie zadania! To było dość proste. Żadna już długaśna ani grubaśna wskazówka nie wiruje mi przed oczyma w zaklętym kręgu zegara, żadna nie chodzi wokół tarczy jak koń w kieracie. Do zmęczonych uszu nie dociera żadne „tik”, ani żadne „tak”. Czas wokół mnie nie ślimaczy się - ani nie biegnie, nie ucieka – ani nie zwalnia. Mogę się nawet łudzić, że oto funkcjonuję poza czasem, a nie jak dotąd w niedoczasy, międzyczasie, nadczasie czy podczasie. Rzeczywistość bez cyferek na tarczy zegara kusi i nęci, uwodzi falującym ruchem bezczasu. Tylko sięść i nasycić spragnione ciało pokarmem terażniejszości, bo chyba tylko ona pozostała. Ćwiczyć uważność, te wszystkie psychologiczne triki, opatrzone wspólną nazwą: „Bycie tu i teraz”. Strumień czasu już nie płynie, nurt zatrzymał się nagle, stanął dęba. Oto przez moment pojawia mi się pod powiekami znajoma energia godziny 00.08, ale po chwili dopala się i znika jak eteryczny dym kościelnego kadzidła, w który zawsze wwąchiwałam się podczas mszy z dziwną, upartą lubością. Jeszcze dopala się w mojej czaszce, otwartej bólem pamięci – tym okrutnym otwieraczem do mózgowych puszek – myśl obezwładniająca: „On wtedy umarł! O tej godzinie!”, ale za moment nie ma już po niej śladu ni ulotnego zapachu.

## II. Obecni męki, kleszcze szpitalnych tortur... Krzyczenie ciszą. Peregrynacja duszy.

*Strumień ognia się rozlewał i wypływał od Niego. Tysiąc tysięcy służyło Mu, a dziesięć tysięcy po dziesięć tysięcy stało przed Nim. Sąd zasiadł i otwarto księgi.*

Dn 7,10

Mąż mi umarł, sobie umarł, umarł światu. Rodzicom umarł, rodzinie umarł i znajomym umarł. I miastu umarł i Polsce umarł. Ziemi umarł, ale narodził się niebu. A po jego śmierci *sąd zasiadł i otwarto księgi*. Odważono ci kochany miarą hojną i tłustą wszelkie dobro, które rozsiewałeś tym intensywniej wokół siebie – im intensywniej nowotwór rozsiewał się w całym twoim ciele. Strumień ognia nie musiał kasać twojej czyściutkiej duszyczki w czyścicu, by wypalić z ciebie zawiązki zła. Czyściec przeżyłeś przez dwa miesiące w szpitalnym łóżku, leżąc wewnątrz prostokątnego łóżka nieludzkiego cierpienia na OIOM-ie. Nawet nie pozostawiono ci możliwości ostatnich jęków – głos odebrał ci wbity głęboko w krtań respirator. Podawał ci strumień tlenu, ale ty miałeś w oczach takie zwierzęce cierpienie, jakby podawano ci poprzez tą plastikową rurkę rozżarzone szpilki ognia i opary trucizny. Ból zaprowadził cię do krainy, w której sekundy są bilionami lat, a nanosekundy – wiecznością. Wiedziałeś, że śmierć całkiem jawnie obejmuje kościstą dłoń stojak od miliarda kroplówek, siedzi na poręczy twojego łóżka i beztrzesko majta nogami, znudzona grzebie sobie paznokciem między zębami, w chwilach, gdy twoje ciało wstrząsane jest kaskadami męki, naznaczone jej stygmatami. Pielęgniarki i pielęgniarze, lekarze i profesorowie – wszyscy oni pobierali z twego umęczonego ciała próbki ciebie. Nacinali cię i dziurawili, przecinali twoją skórę i ranili psychikę, nie pozwalając się jej nawet zbliżnić. Gruba igła jak jakiś szalony kret - drażyła kanały w twoim ciele, kaleczyła beztrzesko, by potem pozostawić cię na pastwę krzywo przyklejonych plasterków i byle jak zamontowanych opatrunków, z których zawsze sączyła się krew.

Kiedy umarłeś, z niesłyszalnym dla nas, dzikim okrzykiem ulgi porzuciłeś swoje ciało jak niemodny garnitur z lat osiemdziesiątych XX wieku. Nawet się za nim nie obejrzałeś, gdy pruleś prosto w niebo, w ramiona Boga, Dobrego Ojca. Wzgardzone ciało spadło wraz z trumną prosto w krzywo wykopaną na dwa metry dziurę w ziemi, zwaną grobem. Odwiedzam ją teraz od dwóch miesięcy, ale nie zastaję tam ciebie. Trumna z twoim ciałem to przecież tylko rodzaj garderoby z nieforemnym, niepotrzebnym ci już ubraniem. Ty jesteś gdzieś tam – w mieszkaniu przygotowanym ci przez Opatrzność. Próbuję dojrzeć cię wewnątrz tego pokoju w niebie, ale wciąż coś mi przeszkadza, szyby okienne są zaparowane, obraz rozmazany, niewyraźny. Wyteżam wzrok nadaremno... Ale tam przecież, gdzie kończy się postrzeżenie, zaczyna się wiara. Idę więc ku tobie po drabinie modlitwy – za ciebie ciebie, ciebie! Rzadko za siebie, jakoś mi nie wypada teraz myśleć o sobie. Na każdym szczebelku drabiny – otulona rytmem litanii, spokojnym kołysaniem szeptów różańca, w naręczem nowenn – czuję się bliższa Bogu, a przez to i tobie. I choć nie wiem czy zdajesz sobie sprawę z wydarzeń mojej codzienności, wdowiej egzystencji – z pewnością słyszysz mnie wówczas, gdy modłę się właśnie za ciebie. Wierzę, że czujesz wciąż pulsującą pępowinę naszej wiecznotrwałej miłości. Jesteśmy przecież na zawsze połączeni miłosnym kablem więzów na trasie niebo – Ziemia. Te określenia „na zawsze”, „na wieczność” - cieszą mnie i napawają jakąś dziwną otuchą. Jesteśmy przecież nadal razem, choć w dwóch różnych rzeczywistościach. Nie my tak zdecydowaliśmy, ale podporządkowaliśmy się woli Pana Boga. Ty już ją znasz i wielbisz, ja – wciąż uczę się jej i poznaję. Ty już jesteś tym wiedzącym, ja – dopiero dowiadującą się. Ty już wiesz, ja jeszcze nie wiem, choć staram się nadrobić braki w tej specyficznej edukacji. Ty się tam w niebie wciąż cieszysz i śmiejesz, ja tu na Ziemi – wyję, płaczę, rozpaczam, a potem uczę się na nowo odczuwać w duszy choć

muśnięcie szczęścia. Ty wypełniłeś już swe życie w sposób doskonały, ja wciąż popełniam błędy i upadam. Ty wreszcie po ciężkiej chorobie i męce umierania – rozkwitasz pełnią osobowości, ja – zwijam się w bólu i samotności, pomimo ciasnego kokonu modlitwy, w który troskliwie się opatuliłam.

### **III. Nasączenie miłością, przemakanie ulgą, wdzięcznością. Koegzystencja z Wiecznością.**

Modliłam się całą sobą, modliłam się dociskając serce do bram Opatrzności, modliłam się półszepcetem, półgłosem, półoddechem. Szum strumienia w wersji audio pomagał oderwać się od przytulności dywanu i ciężaru grawitacji, wzbić się ze swoją modlitwą – hen!, wysoko w niebo. Gdy coś wytrącało mnie z rytmu koronek, nowenn, zdrowasiek, różańców, litanii, psalmów, pacierzy czy suplikacji – jednostajny szum górskiego strumienia w słuchawkach – przywracał jedność i spójnię. Napełniałam się całą modlitwą, a Pan Bóg napełniał mnie coraz większym spokojem. Stawałam się pękata od tego spokoju, obrośnięta nim jak tłuszczem. I gdy wydawało mi się, że oto proces mojej żałoby po Tobie, kochany, zakończył się definitywnie, nagle wracałam brutalnie do punktu wyjścia. Znow był płacz, prawdziwe potoki, które zaczynały się od delikatnego, niezauważalnego przesączenia się łez w oczach:

Kap...

Kap...

Kap... Bum! Trzask! Płask!

A potem morza słone łez zalewały mnie kataklizmami prywatnych powodzi. O! Niechby tylko to się stało na ulicy! Już sąsiadka sąsiadce, kuma kumie, z ust do ust, z brzegu jednych warg – do brzegu innych warg. Plotka rośnie jak kula śnieżna, gigantycznie. Oto wdowa płacze! Łzy roni, wylewa, skomle jak kundel jaki! „A takie miała długo te ślipia suche! Pewnie wcale nie bolała nad śmiercią swego niebożątka – mężątka! I jakie teraz teatrum zaczęła odstawiać! Wstydu chyba nie ma, niecnota jedna! Mogła już na pogrzebie męża w ślad za nim do dołu się rzucać, rwać włosy z głowy, drapać się po twarzy. A wyc przy tym, a krzycheć nieludzko! A ta nic, na pogrzebie cichutka była jakby jej kto język wyrwał! I do grobu za mężem się nie rzucała... Pewnie kochanka zaraz wyciągnie z szafy, zza stosu mężowskich koszul niewyprasowanych. No, od początku mi się ona nie podobała, jak ten jej mąż tylko z nią tu po ulicy prowadzać się zaczął. Takie to chytne jakieś oczka miała. Czasem tak na człeka spojrziała, że mu się ni to straszno, ni to zimno na duszy robiło!”. „Prawda, kumo – rzeknie druga sąsiadka. – Ja to zawsze mówiła, że ten nasz chłopak jakąś maskarę, czarownicę za żonę pojął! A ileż ona grzechów miała! Codziennie latała do kościoła, pewnie nieczystą, zohydzoną grzechem duszę miała! Bo kto to kumo, codziennie u nas do kościoła lata? Chyba czort jeno, ludziska bałamucić!”.

I tak sobie plotkowały sąsiadki, miały ozorkami, aż iskry czasem szły spomiędzy ich zgrzytających zębów. Płakałam – źle według nich czyniłam, bo przecie ile można płakać! Nie płakałam, połykając słone pakunki łez – znow źle czyniłam, bo chyba wcale męża nie kochałam, skoro jestem taka zimna i nieczuła. Ale cóż to? Ty znowu mówisz, górski strumieniu? Do mnie twa mowa adresowana, wysłuchać powinnam uważnie: „Albowiem życie Twoich wiernych, o Panie, zmienia się, ale się nie kończy, i gdy rozpadnie się dom doczesnej pielgrzymki, znajdą przygotowane w niebie wieczne mieszkanie” (Mszał Rzymski, Prefacja o zmarłych). Och, górski strumieniu, ulgo w cierpieniu, przynoszący szept ludzkich modlitw! Otul mnie oraz męża modlitwą i utop w jej głębinach. Ja tylko zatopiona w modlitwie – mogę jeszcze w żałobie oddychać. Wciąż mimo wszystko mogę oddychać...

**Anna Kokot-Nowak**